

Prawda ekranu

28 listopada 2018

Problem, z którym zмага się polski przemysł rozrywkowy, nie nazywa się Filip Chajzer. Nazywa się „późny kapitalizm”.

Moda na programy zbudowane na fundamentach ze stereotypów, ośmieszania, doprowadzania uczestników do stanów nerwicowych, stosowania wymyślnych form zakamuflowanej przemocy – to plaga trawiąca wszystkie stacje, nie tylko TVN, choć ten ma niewątpliwie najbardziej rozpoznawalne formaty. To zresztą słynna maksyma Edwarda Miszczaka: „trzeba znaleźć normalisa, postawić go w trudnej sytuacji i filmować”. I o ile nikt nie ma do kultury popularnej pretensji o to, że wprowadził do telewizji figurę tzw. zwykłego człowieka obok gwiazd i komentatorów „dyżurnych” (przełomowym w polskiej świadomości okazał się „Big Brother” ze swoim niewątpliwym potencjałem socjologicznym) – to niestety coraz częściej programy te przybierają formę okrutnego rytuału przeczołgiwania w imię świętej oglądalności (znów, Edward Miszczak w kontekście pierwszej edycji „Top Model” określił to „koniecznością wykazania się wystarczającą odpornością fizyczną, psychiczną i umysłową”).

W niektórych formatach nadawca i odbiorca są ściśle określeni, w niektórych granica ta się zaciera, jeszcze w innych zapętla. Oglądamy piosenkarzy w roli kucharzy, kucharzy w roli sportowców i podróżników, podglądamy aspirujących do i uciekających od. Niezależnie jednak od tego, jaka jest konwencja danego show, przestaje być niestety aktualne stwierdzenie prof. Wiesława Godzica, że „od normalisa w telewizji nie oczekujemy mądrości, oczekujemy ciepła, sympatii i takiego bycia razem”. Coraz częściej oglądamy, żeby poczuć się lepiej – jego kosztem.

Upprzedmiotowanie

„Ameryka Express” osiągnęła status fenomenu, w którym występuje gradacja „użycia”: mieszkańcy Ameryki Łacińskiej są „używani” przez polskich uczestników, polscy uczestnicy – przez scenarzystów, wymyślających płonące obręcze i piłeczki do podrzucania. Czasem komuś się ulewa. „Afera Chajzera” obiegła na początku listopada ogólnopolskie media i skończyła się skargami do KRRiT.

– Główne zarzuty przedstawione w tych skargach to nieetyczny scenariusz audycji, propagowanie szkodliwych schematów kulturowych, przejaw molestowania w przestrzeni publicznej – powiedziała rzeczniczka Rady Teresa Brykczyńska.

Jednym z zadań uczestników programu było pocałowanie w usta trzech przypadkowych osób płci przeciwnej na ulicach Limy (akcja feralnego odcinka 10 rozgrywała się w Peru). Przypadek chciał, że akurat ten odcinek obejrzałam „w gościach” i już wtedy przeczuwałam, że będzie z tego medialna afera, poszła ona jednak w innym kierunku, niż przewidywałam. Sądziłam, że oprócz molestowania w przestrzeni publicznej, równie mocno napiętnowany zostanie neokolonialny sznyt programu, który wbrew temu, jak chciałaby przedstawiać go prowadząca Agnieszka Woźniak-Starak („to fantastyczny format, w którym oglądamy nie tylko zmagania uczestników, ale również najpiękniejsze zakątki świata i w luźnej, rozrywkowej formie staramy się przybliżyć inne kultury”), jest przesycony stereotypowymi obrazkami „dzikich” – prostych, lecz o złotym sercu (widać to zresztą doskonale w tym samym odcinku, kiedy nawet lektor ma ubaw z grupy zachwyconych latynoskich kobiet skupionej wokół Tomasza Karolaka). Sam zresztą koncept naciągania miejscowych na darmowy nocleg przez Europejczyków z kamerą jest mocno chwiejny etycznie, zwłaszcza, że nie pukają do drzwi lokalnych bogaczy, lecz są ugaszczani przez wielodzietne rodziny lub drobnych ciułaczy, dla których dwie gęby przy stole więcej będą odczuwalne przez najbliższe tygodnie.

Całowanie przypadkowych przechodniów było więc nie tylko naruszeniem granic drugiego człowieka, było ordynarnym wkroczeniem w intymną sferę przez białą kulturę, przekonaną, że jej się należy, że może sobie wziąć, rozepchnąć się w ubogim kraju, bo i tak nie rozumie po hiszpańsku-peruwiańsku i jej też nie rozumieją, ergo nie zaprotestują. Niektórzy całujący odkryli magiczny przepis na sukces, (w pewnych kręgach nazywa się on „consent”), inni – w tym Filip Chajzer właśnie – ruszyli na podbój ust przypadkowych Peruwianek niczym szarżujące byki z rodeo. I wtedy paradoksalnie zaistniało ryzyko autentycznego poniesienia uszczerbku na zdrowiu bohaterów na wizji, bo o ile osobiście nie jestem zwolenniczką internetowej retoryki pt. „Filip Chajzer i ludzie jego pokroju to chujki zasługujące jedynie na kopnięcie w genitalia”, to niewykluczone, że właśnie w ten sposób – lub głośnym krzykiem – zareagowałabym, gdyby nieznajomy na ulicy zaczął naruszać moje granice, wymuszając stricte erotyczny gest. Zastanawia też, że żadnemu z celebrytów nie przyszło zupełnie do głowy, iż za chwilę może zwyczajnie dostać po pysku od męża lub brata całowanej, który wyskoczy gdzieś zza winkla.

Na Filipa Chajzera spadło odium internetowego, słusznego gniewu, który celebryta dodatkowo spotęgował, wklejając na swoim Facebooku zdjęcie Heleny Łygas, dziennikarki Wirtualnej Polski, która opisała na portalu przebieg odcinka. Tekst red. Łygas napisany był w tabloidowej manierze, która kazała nazwać Chajzera „królem babcinyh serc” i „ulubieńcem cioć”, zwracał jednak uwagę na ważny problem – jak na razie bodaj jako jedyna autorka WP dała do zrozumienia, że oprócz naruszania granic kobiet chodziło o uprzywilejowaną pozycję białych, majątnych mężczyzn z centrum Europy. Na koniec napisała też zdanie, które powinno obieć wszystkie media społecznościowe, ale niestety utonęło, tak jak i reszta pogłębionej dyskusji w oburzeniu faktem umieszczenia zdjęcia dziennikarki na Facebooku: „Telewizja, czy ją poważamy, czy nie, mimowolnie wychowuje społeczeństwo. Pokazując, że mężczyzna może

znienacka pocałować kobietę bez jej pozwolenia, winduje takie zachowanie do poziomu normy społecznej”.

Żeby nie było – absolutnie nie mam zamiaru bagatelizować tego, co zrobił Filip Chajzer w social mediach. Kiedy zamierzasz wejść w dyskusję z autorem, jasne jest, że linkujesz jego tekst, nie zaś pokazujesz fanom jego gębę, pragnąc odwrócić uwagę od istoty sprawy. Czy Wirtualna rzeczywistość prowadzi – jak twierdzi Chajzer junior – personalną nagonkę na niego i na jego rodzinę, nie mam zamiaru wnikać. Jego zachowanie w ogólnopolskim programie rozrywkowym ma prawo być komentowane. Uciekła nam jednak w tym wszystkim ważna konkluzja, że zagoniono nas w kozi róg z formatami, na potrzeby których uczestnicy podpisują kontrakty i zobowiązują się niejako in blanco do wykonywania możliwie najbardziej zawstydzających poleceń wymyślonych przez scenarzystów. Później, nękani widmem kary finansowej, usiłują uwieść pracownice hotelu w celu zapewnienia sobie darmowego pobytu bądź jedzą łyżkami chrabąszcze świeżo upieczone nad ogniskiem. Nie namawiam do heroicznego opuszczania programu, na którym chciało się w założeniu zarobić. Gdyby jednak komuś zaświtała w głowie taka straceńcza myśl, to zapewne stacja byłaby w kłopotcie, musząc tłumaczyć się z decyzji celebryty, który odmówił łamania praw człowieka. Gdyby wykonania dyskryminującego zadania odmówiła solidarnie nawet połowa uczestników, mielibyśmy już do czynienia z trendem, nie precedensem.

Przymus

Józia Obrochta, góralka z Kościeliska, to bohaterka jednego z odcinków programu „Damy i wieśniaczki” emitowanego w TTV. Rosyjski format różni się od polskiego in plus – przede wszystkim ma większą rację rację bytu w kraju, gdzie różnice kulturowe i geograficzne (a przede wszystkim nierówności majątkowe) są tak ogromne, że zamiana ról na 5 dni dla obu bohaterów staje się egzotycznym doświadczeniem. Przede wszystkim jednak w Rosji większy nacisk położono na walor

edukacyjny i poznawczy: jedni uczą się, jak smakuje praca, inni – że mogą i powinni – zadbać o swój odpoczynek i pozytywne wzmocnienie. Jeśli zaś idzie o polską edycję, trudno pozbyć się wrażenia, że pomimo całego szumu wokół „zaganiania” do pracy warszawskich celebrytek, chodzi głównie o przedstawienie w krzywym zwierciadle kobiet ze wsi i prowincji. Dla Józi pobyt w Warszawie okazał się męczarnią, z której, oglądając odcinek wyemitowany 6 października, przez cały przerywany reklamami czas najszczerzej pragnęłam ją wyrwać.

Oto, jak stacja zapowiedziała odcinek: „Wieśniaczka sprawia wrażenie pogodnej osoby, ale pod uśmiechem skrywają się niepewność, kompleksy i zmęczenie Jak góralka z krwi i kości odnajdzie się w stolicy? Czy pobyt w Warszawie pozwoli jej odzyskać pewność siebie? Czy zgodzi się na inwazyjny zabieg upiększający, którego efekty będzie musiała pokazać po powrocie mężowi?”.

Ileż śmiechu musiało wywołać, gdy krzepką góralkę stołeczne przyjaciółki Damy – Sylwii Bomby – zaprowadziły na lekcję tańca brzucha i ubrały w „jakieś islamskie gacie”. Kobieta zaczęła pomstować, odgraczać się, że zaraz się spakuje i pojedzie do domu, że to obce, dziwne, nie dla niej. Przyjaciółki skonsternowane: co ta prowincjuszka wymyśla? W końcu jednak Józia skapitulowała i przetańczyła z nimi swoją pańszczyznę przy arabskich rytmach. Jak ją ostatecznie do tego przekonały, do końca nie wyjaśniono.

Za to dobitnie pokazano, co grozi krnąbrnym uczestniczkom w kolejnej scenie, która zmroziła mi krew w żyłach. „Inwazyjnym zabiegiem”, o którym stacja wspomina w zajawce, okazało się powiększenie ust. Bo właśnie takimi dysponuje Dama. Więc najwyraźniej i Wieśniaczka powinna, jeśli nie chce złamać warunków kontraktu. Kobieta wyraźnie komunikowała pracownikom kliniki, do której ją zabrano, że nie życzy sobie zabiegu, boi się go, uważa go za szkodliwą ingerencję w jej ciało, nie będzie chciała go powtarzać. Zawołano prowadzącą, aby

interweniowała. Siła tego, co niewypowiedziane, a co zapisane w kontrakcie z medialną korporacją, jest wielka. Na moich oczach, a przy okazji na oczach tysięcy odbiorców, odbyło się łamanie charakteru.

Czy interwencja prowadzącej program była konieczna? W moim przekonaniu tak, lecz w zupełnie innym kontekście. Sytuacja z „islamskimi gaciami” ujawniła potencjał programu do rozładowania uprzedzeń (a to jeden z pozytywnych przykładów oddziaływania wpływu dużego miasta). Zamiast porozumiewawczych uśmiechów ponad głową spanikowanej bohaterki, twórcy programu mogli zaproponować rozmowę na temat historii tańca, pokazać, że jest dziś wyzwalającą, emancypującą rozrywką kobiet z różnych stron świata. Jednak pokusa zrobienia z góralki Józki „tej głupiutkiej” zwyciężyła i skradła show.

Seksualizacja

Guru światowej mody, Karl Lagerfeld, powiedział: „Jak któraś nie chce zdjąć majtek, to zamiast pracować jako modelka, niech idzie do klasztoru”. I twórcy programu „Top Model: zostań modelką” najwyraźniej wzięli to sobie do serca, wyrzucając Magdalenę Roman, która nie zgodziła się na rozbieraną sesję. Paradoksalnie, dziś pozuje m.in. dla Chanel, na sprzecznię wyrobiła własną markę.

Program jest emitowany na antenie TVN od września 2010. Już po pierwszej edycji KRRiT została zasypana skargami na epatowanie erotyzmem i wulgarność. Przeciwno zdjęciom do drugiej edycji protestowali Piotr Szumlewicz i Agnieszka Mroziak – oprócz rozseksualizowania zwrócili uwagę na kwitnącą w programie mowę nienawiści.

„Istotą programu było systematyczne upokarzanie i obrażanie uczestniczących w nim osób. Prowadzący traktowali uczestniczki programu pogardliwie. W audycjach często pojawiały się bardzo obraźliwe wypowiedzi dotyczące ich urody, wieku czy

inteligencji” – alarmowali publicyści. Udokumentowali swoje zarzuty, przytaczając przykłady wypowiedzi jurorów kierowanych do uczestniczek: „Przyznaj się do cycków – robiłaś je czy nie?”, „Pobaw się balonami”, „Zdejmij stanik to przejdiesz dalej”, „Twój biust wygląda jak rozmiar D i wisi ci jak u starej Murzynki”; „Wyglądasz jak słoń morski wylegujący się na plaży”; „Mamy tu młodą twarz i stare dłonie robota”. Wielokrotnie na ekranie padały wyzwiska: „pustaki”, „świnki”.

Oburzenie sięgnęło zenitu, kiedy projektant Dawid Woliński na wizji postanowił sprawdzić organoleptycznie, czy piersi 26-letniej Angeliki Fajcht są naturalne, czy „zrobione”. Szef KRRiT uznał, że ten wybryk powinien kosztować stację 200 tys. zł. Ostatecznie sprawa otarła się o sąd: TVN wywalczył w apelacji zmniejszenie kary do 150 tys. za „treści naruszające godność ludzką”. Stacja broniła się, iż sama uczestniczka „nie sprawiała wrażenia, jakby jej godność została naruszona”.

– Program miał pokazywać osoby, które oprócz pięknego ciała mają do zaoferowania również ciekawą osobowość. Jurorzy powinni pomagać dziewczynom w rozwoju, by stały się świadome własnego ciała, by je szanowały – komentował wówczas prof. Godzic. – Rolą jurorów w tym programie miało być postrzeganie kobiecego ciała jako dzieła sztuki, a nie obiektu seksualnego.

Angelika Fajcht została zresztą przez stację wystawiona na pośmiewisko internautów po raz kolejny: zaproszono ją do „Dzień dobry TVN”, gdzie razem z zespołem Patty wystąpiła w roli gitarzystki z playbacku („Gitara była dla ozdoby, wykonałam zadanie perfekcyjnie!” – broniła się modelka”). I wiecie co, przy tej okazji powiedziała też coś niezwykle mądrego (choć nie widziałam, by akurat tę wypowiedź TVN chętnie cytował): „Pokazałam że nawet modelka, która nie gra na gitarze, może wystąpić, a i tak większość rzeczy leci z playbacku. Tak to jest, że dziś jesteś na topie, a jutro może już świat o tobie nie pamiętać. Zwłaszcza, że telewizja zje, przegryzie, a jak jesteś niepotrzebna, wypłuje, to znaczy

zwolni...”

Pogarda

TVN może odetchnąć, na chwilę przeniesiemy się do sąsiedniego koncernu – właśnie trwa 14. seria „Chłopaków do wzięcia” Polsatu. Dokument twórców „Czekając na sobotę” oraz „Ballady o lekkim zabarwieniu erotycznym” o mężczyznach ze wsi i zbiedniałej prowincji, szukających życiowych partnerek, formalnie jest pejzażem socjologicznym, ale w praktyce oglądany jest jako kryptokabaret.

„Musi umieć ugotować, uprać, pozmywać, posprzątać. Wtedy to jest lux kobieta. Do tańca i do rózańca. Wszystko zrobi. Do wszystkiego” – mówi „kawaler” z prowincji, a widzowie z Warszawy, Poznania czy Gdańska chrupią popcorn. Temu brakuje połowy zębów, ów próbuje wysyłać seksowne SMS-y z błędami ortograficznymi w drodze do pośredniaka. I nie zdaje sobie sprawy, że funkcjonuje jako zupełnie inny „pan z telewizji” niż Krzysztof Ibisz czy Hubert Urbański.

W styczniu 2018 na producentów posypały się gromy po śmierci jednego z chłopaków do wzięcia, 31-letniego Romka „Napoleona” Paszkowskiego. Szefowa PR Polsatu wysłała redakcjom kuriozalną informację, jakoby „bohater zmarł śmiercią naturalną, prawdopodobnie na zawał serca”. Widzowie komentujący w internecie nie mieli litości: „na waszych oczach umierał człowiek”, „przez Polsat wpadł w dołek jeszcze głębiej”.

Tajemnicą poliszynela było, że zmarły mężczyzna miał problemy z alkoholem, bezskutecznie walczył z uzależnieniem, ponoć również z zaburzeniami osobowości. Gminny OPS w Sońsku wysłał go na staż w porozumieniu z Urzędem Pracy. Po kilkukrotnym przedłużaniu go w czasie, ostatecznie Romek całkowicie go porzucił. Pojawiły się głosy pracowników socjalnych, że udział w programie okazał się dla niego mimo wszystko niedźwiedzią przysługą: kiedy dostawał ok. 500 zł po nakręceniu odcinka,

natychmiast zaczęli krążyć wokół niego koledzy od kieliszka. Wówczas przestawał pojawiać się w pracy. W międzyczasie wdawał się w awantury, trafił nawet na warszawską wytrzeźwiałkę. Producent Jerzy Morawski twierdził, że było zupełnie inaczej: „Nigdy Romka nie widziałem pijanego. Alkohol występował tylko w jego opowieściach. Według mnie był bardzo obowiązkowy, czasem odmawiał nagrania, bo mówił, że ma pracę”. Część internautów upierała się jednak, że nawet na wizji występował ewidentnie „pod wpływem”. Po dramatycznym zwrocie akcji padły w mediach społecznościowych propozycje, by od nowego sezonu zmienić formułę programu – tak, aby nastawiony był na pomoc uczestnikom, nie tylko pokazywanie ich miłosnych dylematów i tęsknot okiem chłodnego obserwatora.

Więcej pogardy

Szczyt klasizmu i publicznego upokarzania? Mamy go: to oparty na brytyjskim formacie „Projekt Lady”, gdzie młode kobiety z dołów społecznych przechodzą bolesne metamorfozy pod okiem trenerki rozwoju osobistego i specjalistki od savoir-vivre’u. Podobnie jak w przypadku „Dam i wieśniaczek”, format ten ma zanurzenie w realiach kraju, w którym powstał. W Wielkiej Brytanii, monarchii z silną tradycją stanową i tęsknotami za dawną arystokracją wyrażającą się w zaciszach prywatnych szkół, gdzie po godzinach grywa się w krykieta, noszenie pereł, anglezowanie, wbijanie w mundurek – w codziennym życiu pracownicy sklepu spożywczego jest wprawdzie podobnie bezużyteczne, odwołuje się jednak do wzorców oswojonych i znanych Brytyjkom, w tamtych realiach może więc nieść emancypacyjny w jakimś stopniu potencjał. W polskiej, postpeerelowskiej rzeczywistości zakrawa wyłącznie na – jak słusznie nazwał to Stanisław Chankowski w „Kontakcie” – wyzwolenie do przymusu.

Dziewczyny z alkoholowych, przemocowych rodzin, z domów dziecka, z dziedziczonej biedy, mają poznać zbawienną moc

zasad i regulaminów. Przestrzeganie zasad samo w sobie miewa pozytywny wpływ, poprawne posługiwanie się sztuczkami zapewne również może się niekiedy w życiu przydać, jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że według twórców wystarczy sam „remont fasady”, by dalsza część pozytywnych zmian zadziałała się magicznie (na tej samej zasadzie działają formaty w stylu „Perfekcyjnej pani domu”). Fajnie jest sprezentować luksusowego fryzjera i manicure młodej kobiecie, która tego pragnie, nie zapewni to jednak kompleksowej opieki psychologicznej i socjalnej. To, że po powrocie do domu, zamiast zrobić kanapkę, bohaterka będzie skubała bułkę opuszkami palców, narazi ją co najwyżej na kpiny.

Prócz tego program spełnia taką samą rolę cyrkowej areny, jak wspomniana wyżej produkcja Polsatu. Filmujemy wyprawę do SPA, gdzie spuszczone ze smyczy imprezowiczki upijają się i robią burdę, towarzyszymy im w klubie i wyczekujemy w napięciu, która pierwsza pójdzie w tango lub rzuci na wizji „kurwą”. Wyjątkowo nieetycznego „eksperymentu” dopuściła się jedna z jurerek w ubiegłym roku, w 2. sezonie programu.

Tatiana Mindewicz-Puacz kazała uczestniczkom odczytywać na głos ankiety, sporządzone przez studentów Collegium Civitas. Studenci otrzymali od wykładowcy zdjęcia uczestniczek i anonimowo podzielili się opiniami na ich temat. Jakie to były opinie? „Wulgarna, tandetna laska”, „towar wielokrotnie macany staje się nieatrakcyjny”, „Czy ona pracuje jako prostytutka?”. Michał Przymusiński, na którego powołano się w programie, odpowiedział: „Przekaz dotyczący mojej osoby jest manipulacją. (...) Nie miałem cienia wątpliwości, że ankiety są zbierane za zgodą i wiedzą osób ocenianych, ponieważ tak mi to zostało przedstawione; powiedziano mi, że opinie te będą wyłącznie do wiadomości osób ocenianych i pomogą im w samodoskonaleniu i pracy nad wizerunkiem – dlatego ankiety były anonimowe i przekazane od razu członkom ekipy; odczas nagrania nie było mowy o publicznym wykorzystaniu ankiet, ani koncepcji programu czy jakiegokolwiek rozmowy nt. scenariusza programu”.

Negatywne konsekwencje działań stacji poniosły więc nie tylko uczestniczki, ale również wykładowca oraz uczelnia, na którą się z lubością powoływano.

Jak sprawę skomentowała sama mentorka?

Oto komentarz Tatiany EMPE Mindewicz-Puacz z 3 lipca 2017 r.:

„Fragment „kontrowersyjnych warsztatów” plus mój komentarz (pisownia oryginalna):

1) ludzie oceniają nas po pozorach, powierzchownie nie zastanawiając się nad niesprawiedliwością i bezpodstawnością tych ocen

– czy to dobre? Nie

– czy słuszne? Nie

– czy powinno się tak robić? Nie

– czy tak się dzieje? Tak

2) jeśli mamy poczucie własnej wartości, wiemy jak wiele jest w nas wspaniałych rzeczy – możemy się do tych opinii dystansować. Przede wszystkim jednak możemy decydować, czy nasz wygląd ma dla nas znaczenie, czy nie.

3) każda z Uczestniczek Projekt Lady TVN jest wspaniałą Kobietą, bez względu na to jak się ubiera (ubierała) czy zachowuje. Ich decyzja o tym, że CHCĄ wiedzieć, co inni myślą na temat dotychczasowego wyglądu – miała im pokazać, czy efekt „pierwszego wrażenia” jaki zamierzały wywołać jest zgodny z ich oczekiwaniami

4) po warsztatach rozmawiałyśmy nie tylko o tym, jak One mogły być oceniane (powierzchownie i niesprawiedliwie) ale także o tym, że same często nieświadome skutków takiej oceny – podobnie oceniały innych

5) okazało się też, że Dziewczyny same w stosunku do siebie są bardzo surowe i niesprawiedliwe, że trudno im dostrzec coś dobrego. Dlatego ubiór czy zachowanie miały przykrywać to, czego nie chciały pokazać

6) najważniejsze, co chciałam Im przekazać (mam nadzieję, że mi się to udało) to to, że są bardzo wiele warte i żadna

zewnątrzna ocena tego nie zmieni. To, co mogą (jeśli będą miały ochotę) zmienić to WIZERUNEK. Decyzja należy do nich.

...myśląc dzisiaj, z perspektywy czasu o tych warsztatach, po kolejnych tygodniach spędzonych z Dziewczynami jestem przekonana, że były dla nich ważne i pomogły im w życzliwszym patrzeniu na siebie, dostrzeżeniu tego, co mają w środku □

P.S. Daria (jak dla mnie) mogłaby nie chudnąć ani grama, jest cudowna bez względu na wagę □ jeśli jednak (jak często powtarzała) jej samopoczucie miałoby się poprawić z powodu zrzućcenia kilku kilogramów – jej wybór □”

Z serii „strategie rozwoju osobistego”: jeśli chcesz dać komuś „motywacyjnego kopa”, powiedz mu, że wygląda jak kupa gówna.

* * *

Opcja „wyrzucić telewizor” to niestety za mało. Jeśli po prostu uznamy, że kultura masowa nas nie dotyczy, bo jesteśmy ponad, nie znaczy, że automatycznie przestanie istnieć w swojej obecnej formie. Opcja „nie oglądać” sprawi, że jedne sensacyjne i przemocowe formaty, które okazały się niedochodowe, będą zastępowane podobnymi. Gigantów medialnych na to stać. Nie ma odpowiedzi szybkiej, prostej i na dziś, kiedy w sformułowaniu „rynek rozrywki” kluczową składową jest „rynek”. Odpowiedź jest (niestety) w edukacji, w nagłaśnianiu złych praktyk, apelowaniu do telewizyjnych gigantów, naciskach na celebrytów i medioznawców w social mediach, a przede wszystkim tworzeniu i promowaniu rozrywki etycznej, poszerzającej horyzonty. Bo nieprawdą jest, że nie ma za co chwalić. Androgeniczny Michał Szpak, którego odkrył TVN („X-Factor”), a przechwyciła Telewizja Polska, udowadnia teraz z powodzeniem, że strach przed okropnym potworem dzenderyzmu ma jedynie wielkie oczy. I to w telewizji Jacka Kurskiego!

Autorstwo: Weronika Książek

Źródło: Strajk.eu